

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

8

(Ciąg dalszy).

Po słowach tych spodziewał się objawów zdziwienia, przeczenia lub oburzenia, lecz Korpstrauss odrzekł tylko zmienionym głosem, co bardziej go zdradziło, niż wszelkie inne poszlaki:

— Moja ręka?

— Tak, pańska — potwierdził stanowczo dawny porucznik, pewny już, że się nie myli. — Dosyć już kłamstw i wykrętów!... Gdzie jest ten dowód?... Gdzie go pan chowa?... Zapewne w kasie ogniotrwałej obok planów balonów sterowniczych, które pan chce wydać swemu rządowi. Przekonywa się pan, że ja wszystko wiem!... Znam nawet tajemnicę otwarcia tej kasy... 24, 7, 85... daty mojego areztowania w wąwozie d'Ollioules!...

Korpstrauss zbladł. Piorun padający u jego nóg, nie sprawiłby większego wrażenia. Nogi ugięły się pod nim. Musiał chwycić się oparcia fotelu, by nie upaść.

— Pańska imaginacja — wyjąkał — unosi pana zbyt daleko.

Paweł de Vareilles wyciągnął ręce po klucze, leżące na biurku. Bankier dojrzał jego ruch i chciał mu przeszkodzić. Zwarli się z sobą.

Apartament pod spodem był pusty; nikt nie mógł dosłyszeć hałasu, wywołanego ich walką; bankier musiał mieć ważne powody, by nie zwracać niczyjej uwagi na dramatyczną scenę, jaka się u niego rozgrywała, jeżeli nie wołał na pomoc.

Wkrótce poczuł Korpstrauss, że słabnie w żelaznym uścisku amerykańskiego furmiera; w ostatnim wysiłku wyrwał się z jego objęć i skoczył po rewolwer leżący w szufladzie.

Nie zdążył. Błysnął nóż i bankier rażony między łopatką padł z strasznym krzykiem na ziemię.

— Bóg tego chciał! — szepnął porucznik.

I pozostawiając ciało w przedśmiertnych kurczach, wziął klucze i otworzył kasę. Znajdowała się ona w wielkim porządku, świadcząc o skrupulatności jej właściciela.

Na lewo w rogu ujrzał Paweł de Vareilles złotą kopertę, obwiązaną sznurem i zalakowaną.

Serce mu biło, gdy brał ją; w rękę swym trzymał tajemnicę swego kraju. Początkowo chciał ją schować do kieszeni, rozmyślił się jednak.

Baronowa Bristow spostrzeże bez wątpienia, że dokumenty, które miała wydać, zginęły. Nie można było dać jej najmniejszego pozoru, że między tymi papierami a śmiercią bankiera zachodziła jakaś łączność. Będzie miała się na ostrożności i może udaremnić mu jego zamiary; nie będzie już mógł uwolnić swej ojczyzny od szpiegów.

Na szczęście jego na łaku nie była odbita żadna pieczęć. Rozciął sznurki, wyjął z koperty dokumenty, a na miejsce ich włożył tej samej grubości zwitek papieru. Potem obwiązał znowu, zalakował i położył w tym samym rogu.

Teraz mogą już sprzedać tę kopertę; nikomu szkody nie wyrządzą.

Następnie zabrał się do dalszych poszukiwań, starając się nic nie poprzewracać, by przypadkiem nie spostrzeżono, że ktoś obcy zaglądał do środka. Uważnie oglądał jeden papier po drugim, gdy nagle okrzyk radości dobył mu się z piersi.

Bywają uczucia, które nigdy nie mylą. Pomiedzy papierami, schowanymi w starym, wyblakłym portfelu, znalazł jeden, za który zapłaciłby własną krwią.

Czytał go kilkakrotnie, nie wierząc swym oczom. Rzucił on niespodziewane światło na te ciemności, w których od lat dwudziestu przebywał.

Prawdziwy zdrajca, jeden z jego kolegów, służący wraz z nim na jednym pancerniku i który potem waleczną śmiercią okupił swą winę, pisał do bankiera, błagając go, by dowiódł, że Paweł de Vareilles skazany jest niewinny i by podał sądowi jego własne nazwisko, jako zdrajcy.

Korpstrauss zadowolony, że nie został skompromitowany, nie zwrócił najmniejszej uwagi na ten list, lekceważąc fakt, że jeden oficer cierpi za drugiego.

Wkrótce prawdziwy winowajca legł na polu walki, zanim zdążył, miotany wyrzutami sumienia, oskarżyć siebie i uwolnić swego kolegę.

Po śmierci skruszonego oficera, Korpstrauss przestał się już lękać niebezpiecznych dla siebie rewelacji i sprawa o zdradę została już na zawsze pogrzebana.

Dlaczego jednak zachował ten list? Czy chciał go sprzedać rodzinie winnego? Czy też to była obrona przeciw współnikom nieszczęśliwego i żalującego za swe winy zdrajcy? Wobec takiego nędznika, jak bankier, wszystkie przypuszczenia były możliwe.

Paweł de Vareilles zwrócił oczy na zwłoki i szepnął:

— Niech krew twoja nie padnie na mnie... i niech Bóg przebaczy mi... Usługa, jaką oddałem swej ojczyźnie, odbierając skradzione tajemnice, zjedna mi przebaczenie rodaków... Lecz czas już uchodzić!...

Wyszedł przez okno, wstawił szybę i zaraz ją zakitował, poczem wdrapał się po sznurze do swego pokoju. Nie pozostawał jednak w nim długo; zabrał tylko wszystko, co mogłoby służyć za jakiś ślad dla policyi i znowu przez swe okienko wydostał się na dach, skąd już łatwo przeszedł do sąsiedniego domu, w którym zawczasu wynajął dla siebie pokój na szóstym piętrze. Na drugi dzień rano wyszedł najspokojniej z domu, by już do niego nie powrócić.

Mimo całego sprytu inspektora Lapipa, któremu powierzono śledztwo, sprawa o zabójstwo na placu Malesherbes została złożona do aktów bez żadnych następstw.

Wtedy Paweł de Vareilles, bezpieczny już pod tym względem, postanowił przystąpić do spłacenia długu winnej wdzięczności córce swego dozorcę więziennego.

Od samego początku poczuł żywą sympatię dla tej uczciwej i pracowitej sieroty, która odważnie walczyła z swym ciężkim losem. Była ona przytem piękną; szczupłą i wysmukłą, gdy szła przez ulice Paryża, odnosząc klientom robotę, zwracała swą urodą uwagę przechodniów.

Nieraz też Paweł de Vareilles wybierał się późnym wieczorem na Belleville, by popatrzeć w okno zasłonięte storą, za którym migotała się słabo lampa i odbijał się cień pochylonej nad pracą biednej sieroty. Myślał wtedy wzruszony o radości, jaką przyniesie do tego skromnego mieszkanka, gdy znoje życie jego lokatorki zamieni na spokojne, wesołe dnie bez troski. Te marzenia o przyszłości były dla niego wypoczynkiem po troskach, jakie musiał znosić, przygotowując się do żądania rewizji swego procesu.

I właśnie pewnego wieczoru, gdy wracał do siebie przez ulicę Ramus, ujrzał, jak trzech opryszków wynosi z karety omdlałą kobietę do podejrzanego hoteliku.

Zaintrygowany tem, a zarazem przeczuwając jakiś napad zbrodniczy, wtargnął do środka i dzięki swej niezwyklej sile wyrwał ofiarę z rąk bandytów. Z wielkim jednak zdziwieniem spostrzegł, że znajduje się w obecności baronowej Bristow. W jaki sposób zdołano współniczkę Korpstraussa wciągnąć w tę zasadzkę?

Przy niespodzianem zjawieniu się Lapipa nie mógł uchronić się od pewnego chwilowego lęku. Czyż inspektor nie domyśli się, że ma przed sobą nieznanego z hotelu „Księcia Portugalskiego“ i zabójcę bankiera niemieckiego?

Mimo to wysłuchał spokojnie opowiadania baronowej i chciał już sam dać wyjaśnienie, dlaczego znajduje się w tym pokoju, gdy nagle Touffe zapytał baronową o bilecik, który wręczył jej w łożu attaché niemiecki.

Bilet ten Paweł de Vareilles wziął z kominka i miał go wręczyć baronowej gdy bandyci rzucili się na niego po raz wtóry. Jakaż w nim musiała być zawarta tajemnica, jeżeli pierwszą troską policyi wśród tak dramatycznej sceny było dopytywanie się o niego.

Oddawać go w takich warunkach byłoby nieprzebaczalnym błędem, porucznik też postanowił ukryć go.

Korzystając z zwrócenia ogólnej uwagi na dowódcę apaszów, stanął przy oknie, przywiązał leżące na ziemi prześcieradło do klamry okna i niepostrzeżenie zsunął się po niem na ulicę.

Ukryty w ciemnym zakątku widział, odjazd baronowej w prowadzonej dorożce, a potem eskortowanych przez policyę bandytów. Wtedy przy świetle latarni przeczytał bilecik. Zawierał on tylko kilka wierszy, pisanych ołówkiem:

„Jutro domino niebieskie i złote będzie miało papiery, a biały zakonnik umówioną sumę“.

— Ciekawym, szepnął do siebie, coby Lapipe zrozumiał z tego?

Dla niego nic nie mogło być jaśniejszego.

Baronowa zabrała z kasy ogniotrwałej bankiera złotą kopertę, nie podejrzewając nawet zamiany jej zawartości.

Ponieważ warunki jej zostały przyjęte, winna,

tylko wręczyć ją attaché niemieckiemu, dla zabezpieczenia się jednak przed policyą, która ich śledziła, mieli się spotkać nazajutrz na balu maskowym, wydanym przez ambasadę chińską i tam w przebraniu domina niebieskiego i białego zakonnika dokonać niecnej transakcji.

Jeszcze tych pieniędzy nie dostała, roześmiał się Paweł de Vareilles!... Mam przed sobą dwadzieścia cztery godzin, które mi starczą, by im spłatać dotkliwego figla.

IX.

Bal ambasady chińskiej.

Baronowa wyszła pospiesznie z fiakra, który ją odwiózł, zapłaciła woźnicy i przechodząc przez trotuar, skierowała się do bramy domu.

Nie zadzwoniła jednak. Przez chwilę czekała, aż się dorożka oddali, potem upewniwszy się, że ulica jest pusta, poszła szybko w stronę placu Alma.

Nieraz mimo późnej pory przejeżdżają tamtędy dorożki samochodowe w oczekiwaniu spóźnionych gości; na szczęście natrafiła zaraz na jedną i zatrzymując szofera, rzuciła mu adres:

— Ulica Enghien 25.

Tam wygodnych w pokojach umeblowanych mieszkał Newton, podczas pobytu swego w Paryżu.

Stróż, którego kilka franków wprawiło mimo obudzenia w dobry humor, pospieszył zaprowadzić piękną Rosyankę do eleganckiego apartamentu, zajmowanego na trzecim piętrze przez detektywa.

Wobec nazwiska tak późnego gościa zerwał się on z łóżka i szybko ubrał się.

— Pani baronowa o tej porze? zapytał. Co się stało?

Nerwowym głosem opowiedziała mu wszystkie przygody, jakie jej się tej nocy przytrafiły.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, rzekł, to panią baronową więcej interesuje, co się stało z tym biletem, niż to, co w nim było napisane?

— W istocie, o to mi chodzi głównie.

Myśl, że ten kawałek papieru mógł wpaść w ręce policyi, która z jego treści domyśliłaby się zapewne i stwierdziła swe podejrzenia co do jej szpiegostwa, przejmowała Rosyankę wielkim strachem.

Newton namyślał się w milczeniu. To było dla niego zupełnie jasne, że ten tajemniczy zbawca musiał mieć daleko więcej powodów do niebezpiecznej ucieczki przez okno przed agentami, niż do ukrycia przed ich ciekawością biletu, którego treści nawet nie znał.

Musiał to być zapewne dezterter, uciekinier z ciężkich robót, lub może złoczyńca, poszukiwany przez sądy... W każdym razie przyczynę jego nagłego zniknięcia upatrywać należy tylko w obawie przed znajomością z agentami.

Po dojściu do tego wniosku Newton rzekł tonem pewnym:

— Mojem zdaniem położenie nie jest tak straszne, jak to pani baronowa wyobraża sobie... posiadacz biletu hrabiego Fraskopelly nie zna z pewnością jego wartości... Można nawet zaręczyć, że gdy znajdzie go w kieszeni, to rzuci go jako rzecz bezpożyteczną... a już pod żadnym względem nie odniesie go policyi!...

— Dlaczego?

— Gdyż bez wątpienia ma ona jakieś rachunki z nim do załatwienia, nie będzie więc oddawał się jej w ręce.

— On?... ten człowiek, który z narażeniem własnego życia wyrwał mnie z rąk tych strasznych apaszów?

— Człowiek występny może nie być pozbawiony pewnej brawury, odrzekł poważnie detektyw... niech pani baronowa nie spieszy się z podziwianiem jego czynu... jestem bardziej sceptyczny... kto wie, czy nie liczył on na wdzięczność bogatej kobiety, którą ocalił?...

— Ja też jestem mu ją winna, niech tylko zgłosi się do mnie, a otrzyma sumę, jakiej pragnie... i wszystko co będę mogła uczynić dla niego...

— Trzeba go przedtem odszukać! zauważył detektyw z ironicznym uśmiechem.

— Tak, rzekła piękna Rosyanka przywołana tem do rzeczywistości... błagam też pana, niech go pan odszuka, niech panu odda ten bilet... inaczej, jestem zgubiona!...

— Żąda pani baronowa coś bardzo trudnego!... jeżeli jednak słowo: niemożliwość — nie pochodzi z Francji, tem bardziej jeszcze nie pochodzi ono z Ameryki... Natychmiast zabieram się do szukania... a skoro tylko co odkryję, zaraz panią zawiadomię...

— Tylko nadzieją będę żyła!...

— A więc proszę nie poddawać się zmartwie-